

moja matka moja córką



WYDZIAŁ SZTUKI
PWSZ W TARNOWIE



Klaudia Urbanek-Kękuś

Rozmawiają: Magdalena Ujma, Agnieszka Bartak-Lisikiewicz

Jak zaczęła się Twoja przygoda ze sztuką?

Zaczęła się od pani Heleny, która prowadziła zajęcia plastyczne w pobliskim Domu Kultury. Była ważną postacią w moim dziecięcym życiu, w welurowych sukienkach, z fryzurą na Kleopatrze, nieco ekscentryczna. Mówiła, że jej mąż - malarz (prawdziwy, nie żaden „niedzielny”) – twierdzi, że ze mnie „Malara”. Cieszyło mnie to bardzo, bo z tonu jakim to wypowiadała, pobrzmiewał patos i sprawczość.

Pani Helena była starsza już wtedy, trochę artystka, a trochę dama. To, że była damą w eleganckim stroju, zupełnie nie przeszkadzało jej brudzić się po łokcie przy pracy. Pamiętam jak mówiła „w naszym fachu nie ma strachu” i suchym pędzlem wycierała biegnącą po papierze strużkę farby, ratując w ten sposób obrazek przed niechcianą plamą (co w moich siedmioletnich oczach było jak sztuczka magiczna).

Pamiętam również, że nie pozwalała nam odmalowywać koników Pony ani innych bajkowych postaci, mówiła, że są paskudne i niewarte uwagi. W zamian za to malowaliśmy np. kolędników, a czasami, od wielkiej pompy, dostawaliśmy troszkę złotej farby (przedmiot ogólnego pożądania), którą można było potraktować najważniejsze miejsce na obrazku. I oczywiście martwe natury, panujące w naszej pracowni. Złożone z kolorowych tkanin, wypchanych ptaków i tego, co akurat sprzedawano na placu warzywnym za rogiem. Kiedyś pani Helena zabrała nas do swojego domu, gdzie miał pracownię jej mąż i malarz - pan Marian. Pamiętam słoiki pełne pędzli, stojące w równiutkich rzędach na półkach. Mówiła nam wtedy, że prawdziwy malarz ma w swojej pracowni porządek i dba o pędzle. Że pan Marian był prawdziwym malarzem (albo malarzem „pełną gębą” jak też mówiliśmy) nikt wątpliwości nie miał. Zresztą dla wątpiących, wisiał u nas w pracowni, na prawo od wejścia, rysunek tuszem jego autorstwa, przedstawiający panią Helenę na koniu. To była kobieta, która miała zdecydowanie największy wpływ na mnie i moje późniejsze wybory. Mama mnie na te zajęcia zaprowadzała, ale nie była częścią tego świata, bardziej obok. Cieszyła się jak mi coś wychodziło, ale przez większość czasu była skupiona raczej na sobie. Miałyśmy trudną relację.

Mama twierdziła całe życie, że potrafi narysować tylko domek i ludzika z kresek, więc zupełnie nie utożsamiała się z moim zamiłowaniem do rysowania.

Wspierali mnie chyba wszyscy, a na pewno nikt nie przeszkadzał. Nie pamiętam żadnych negatywnych komunikatów płynących od bliskich. W domu mówiło się, że dziadek ładnie malował, że tata ma po nim zdolności manualne, no i w konsekwencji ja. Pamiętam, że babcia była przeciwna liceum plastycznemu, ale chodziło o internat, a nie o sam kierunek edukacji. W to nikt mi się nie wtrącał. Teraz, jak o tym myślę,

to widzę, że chyba dostałam dużo wolności i zaufania. Nie usłyszałam też nigdy, że liceum i studia artystyczne to kiepski pomysł, brak perspektyw na dobrą pracę itp. Sprawa była prosta: lubiłam malować i robiłam to dobrze, więc wszyscy się cieszyli. Kiedyś jak zaczęłam śpiewać, tata dał mi pięć złotych, żebym przestała i powiedział: „idź robić to, co potrafisz”. To mój rodzinny przekaz.

Co z przekazu rodzinnego, który otrzymałaś przekazujesz swojej córce?

Staram się nie przeszkadzać. Marysia lubi rysować i jest to u niej autentyczna potrzeba. Syn odwrotnie. Kiedy był mały, próbowałam go delikatnie zachęcić, jeśli nie do malowania, to chociaż pokolorowania czegoś. Pamiętam, jak oddał mi nietkniętą kolorowanekę i powiedział: „zrobione. Kubuś Puchatek oblał się białą farbą”. Marysia rysuje dużo i chętnie. Czasami z fantazji, czasami są to takie bajkowe rysowanki (w przeciwieństwie do pani Heleny, nie zakazuję ich autorytarnie). Miałam ostatnio myśl, że może powinienam poświęcić jej trochę czasu i poćwiczyć rysowanie z natury, ale potem wydało mi się to takie wydumane, zbyt celowe. Niech sobie będzie siedmiolatką, rysującą co jej w duszy gra, a nie ćwiczącą proporcje i perspektywę. Przyszła do mnie w tym samym dniu i powiedziała: „mamo, a może nauczyłabyś mnie rysować tak na poważnie, realistycznie?” To było niesamowite, że bez wpływu żadnych zewnętrznych bodźców, pomyślałyśmy obie o tym samym.

Jak to się zaczęło – to bycie matką? Kiedy już byłaś ustabilizowana jako artystka?

Nie wydaje mi się, żeby macierzyństwo wiele tu zmieniło. To znaczy w moim przypadku. Oczywiście, że dzieci są czaso- i energochłonne, ale ten związek (mój i sztuki) był trudny już przed nimi. Mam wrażenie, że ciągle jestem pod tym względem nieustabilizowana i pora przyznać (także przed sobą samą), że to nie wina zewnętrznych okoliczności. Nie jestem już taka przekonana, że gdybym nie miała dzieci, malowałabym dużo więcej. Zaakceptowanie tej niewiedzy (kim chce się być i dlaczego) jest uwalniające. Dla mnie malowanie jest trudne, nie w kontekście dzieci, jest trudne samo w sobie.

Jakim doświadczeniem było dla ciebie macierzyństwo, czy miało wpływ na Twoją sztukę?

Niespodziewanym i w sumie pozytywnym. Zmieniło rzeczywistość dookoła i na tej zasadzie przeniknęło też do obrazów. Zawsze wydawało mi się, że mogę mówić tylko o rzeczach, o których mam choć blade pojęcie. Rzeczy (tematy), które podziwiam u innych, nie przeszłyby mi przez gardło (pędzel?).

Czy macierzyństwo pomaga czy przeszkadza w byciu artystką?

To chyba zależy jak na to spojrzeć. Macierzyństwo przeszkadza we wszystkim, bo zajmuje czas. Z drugiej strony (jak teraz o tym myślę), to musi być dziwne – nie doświadczać tego. Mieć tylko perspektywę sprzed dzieci. Już nie pamiętam jak to było.

Czy macierzyństwo może być przeniesione na płaszczyznę sztuki? Czy Twoja córka pojawia się w Twoich pracach?

Pojawiają się zarówno córka, jak i syn. Lubią to, jest to dla nich naturalne, że w domu wiszą ich portrety, z ich perspektywy są od zawsze. Czasami się dopominają, że dawno ich nie malowałam. To wtedy mówię, że może niedługo namaluję.

Dzieci są obecne na moich obrazach, odkąd stały się częścią naszego krajobrazu. Jako to, co najważniejsze, pochłaniające myśli, będące przedmiotem trosk. Jedyne temat, o którym można opowiedzieć coś uczciwie, autentycznie, przeanalizowany do bólu. Z takim przeświadczeniem trzeba się od nich uwolnić, powiedzieć, żeby nie przeszkadzały, zaniedbać na co dzień, żeby móc dopracować coś na obrazie. W tym opisie jest oczywiście pewna przesada, ale pokazuje dysonans, który odczuwam. Więc macierzyństwo się tak śmiesznie przenosi, paradoksalnie. Bo trzeba powiedzieć tym najbliższym osobom: dajcie mi spokój, nie przeszkadzajcie, teraz będę malować, czyli snuć opowieść o rzeczach najistotniejszych (o was).